NIEDZIELA
TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY
Nr. 19 Katowice, 7-go maja 1933

Na trzecią niedzielę po Wielkanocy.

EWANGELJA
Jan 16, 16—22.

Onego czasu rzekł Jezus: Maluczko, a już Mię nie ujrzycie, i znowu maluczko, a ujrzycie Mię, a iż idę do Ojca. Mówił tedy z uczniów jeden do drugiego: Co to jest, co nam mówi: Maluczko, a nie ujrzycie Mię, i znowu maluczko, a ujrzycie Mię, a iż idę do Ojca? Mówili tedy: Co to jest, co mówi: Maluczko? nie wiemy, co powiada. A poznał Jezus, że Go pytać chcieli. I rzekł im: Otem się pytacie między sobą, iżem rzekł: Maluczko, a nie ujrzycie Mię, i znowu maluczko, a ujrzycie Mię? Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam, iż będziecie płakać i lamentować wy, a świat się będzie weselił, a wy się smucić będziecie, ale smutek wasz w radość się obróci. Niewiasta, gdy rodzi, smutek ma, iż przyszła jej godzina, lecz gdy porodzi dzieciątko, już nie pamięta uciśnienia dla radości, iż sie człowiek na świat narodził. I wy tedy teraz wprawdzie smutek macie, lecz znowu ujrzę was, a będzie się radowało serce wasze, a radości waszej żaden od was nie odejmie.

Nauka niedzielna o radości.

Treść dzisiejszej ewangelji będzie dla każdego jasna, jeśli będzie pamiętał, że opowiedziana rozmowa Pana Jezusa z uczniami odbyła sie w czasie Ostatniej Wieczerzy, na około 20 godzin przed Jego śmiercią. Maluczko, bo za dwadzieścia godzin nie mieli ujrzeć Mistrza, a maluczko i znowu mieli Go zobaczyć trzeciego dnia, zaraz po zmartwychwstaniu. Będą apostołowie płakać z powodu Jego śmierci, wrogowie zaś cieszyć się będą, że Go zgładzili. Smutek apostołów będzie krótki, radość zaś ze zmartwychwstania Pańskiego będzie głęboka i trwała i nikt im jej nie odbierze.

Podzielmy z apostołami ich duchową radość. Poszli oni z nią na prace misyjne po wniebowstąpieniu Pana Jezusa. Chociaż nie szczędził im Bóg doświadczeń, zawodów, cierpień, przecież radość nosili zawsze w sercach: „Pełen jestem pociechy i zbytnio się raduje we wszelkiem utrapieniu naszem“ — pisał św. Paweł, apostoł, wiernym w Koryncie.

Skąd płynęła ich radość? Przedewszystkiem **z czystego serca**, które zamieszkiwał Duch Św. „Owocem Ducha są: miłość, wesele, pokój, cierpliwość“, pouczał św. Paweł chrześcijan w Galacji.

To stałe **zjednoczenie z Bogiem** było prawdziwem źródłem ich wesela. Do pielęgnowania tego zjednoczenia, aby otrzymać płynącą zeń radość, zachęcali oni wiernych i pouczali ich, jak je uzyskać. Św. Jan Ewangelista pisze: „Abyście i wy wspólność mieli z nami, a obcowanie nasze było z Ojcem i Synem Jego Jezusem Chrystusem. A to wam piszemy, abyście się radowali, a radość wasza zupełna była“. Dzieje Apostolskie wprost łączą wesele z Duchem Św., mówiąc: „Uczniowie napełniali się weselem i Duchem Świętym“.

O tem źródle radości wiedzą wszyscy katolicy z doświadczenia, bo czują prawdziwy pokój i wesele, ile razy przez oczyszczenie duszy z grzechów w sakramencie pokuty zjednoczą się na nowo przez łaskę uświęcającą z Bogiem.

Poza tem głównem źródłem radości mieli Apostołowie jeszcze inne piękne i szlachetne źródła wesela.

Radowali się **z rozszerzania się ewangelji** Chrystusowej: „By jeno Chrystus był opowiadany i tem się weselę“ — mówi św. Paweł Filipjanom.

Radowali się **z postępu duchowego wiernych**: „Wy jesteście chwałą naszą i weselem“. — pisze Apostoł narodów kilkakrotnie Tesaloniczanom.

Radowali się, że mogli **cierpieć** za naukę Chrystusową i za swoich wiernych. Apostołowie Piotr i Jan „szli, radując się, iż stali się godnymi dla imienia Jezusowego zelżywość cierpieć — opowiadają Dzieje Apostolskie. A św. Paweł oznajmia wiernym w Kolosach: „...teraz się raduje w utrapieniach za was“. Radość z utrapień poleca też św. Piotr w swym liście apostolskim: „Ale się weselcie, uczestnikami będąc Chrystusowych ucisków, abyście się i w objawieniu chwały Jego radując weselili“.

Św. Pawła radowała **sama myśl cierpienia** za wiarę i wiernych: „Gdybym i krew swoją przelał w dodatku do ofiary i do świętej służby wiary waszej, cieszę się z tego i razem z wami raduję. A z tego i wy się cieszcie i radujcie się razem ze mną“, — pisze Filipjanom.

Radowali się apostołowie i innym chcieli sprawić radość nawet **w rzeczach**, zdawałoby się całkiem **małych** i ziemskich. Św. Paweł pisze do Koryntjan, że pocieszył go Bóg przez to, że przybył przyjaciel jego Tytus, a Filipjanom, że pozostanie z nimi: „ku waszemu pożytkowi i weselu z wiary“. Św. Jan już jako starzec donosi jednej z gmin chrześcijańskich: „Spodziewam sie być u was i ustami mówić, aby wesele wasze było zupełne“.

Wszystko więc było dla apostołów **okazją do radości, dzielili się też nią** chętnie z bliźnimi i pragnęli, żeby wszyscy wierni tak samo postępowali. Wołają tedy do nich wielokrotnie: „Weselcie się w Panu zawsze, weselcie sie!“ Ślą im także gorące życzenie: „Bóg nadziei niech was napełni wszelaką radością!“

To samo życzenie ślemy, kończąc dzisiejszą naukę, wszystkim, którzy ją przeczytają i pobożnie rozważą. Amen.

W majowy wieczór.

Złocą się gwiazdy na niebios szafirze,
Księżyc nad góry srebrne lica wznosi,
Znikają mary w czarnym borów kirze..
Lud pod figurą chwałę Marji głosi.

Tam, pod figurą, co za wioską stała,
Strojna zielenią i barwnemi kwiaty,
Wielka gromada ludu się zebrała,
Aby swe Marji wyśpiewać wiwaty.

Ave Maria! — Witaj Matko nasza!
Ty jesteś Nieba i Polski Królową,
Pod Twą opieką nic nas nie przestrasza,
Racz nas osłaniać Swą szatą tęczową.

Otrzyj łzy z oczu, serca ukój rany!...
A wiatr te pieśni na swe porwał fale,
I poniósł kędyś przez zielone łany,
W te czarno-sine, tajemnicze dale...

Ave Marja!... stojąc na uboczu,
Śpiewałem z ludem, — łzy ciekły mi z oczu.
Zdrowaś Marjo, — Tyś moją nadzieją,
Spraw, niech me czarne dale zajaśnieją...

Miesiąc Marji.

Nabożeństwo majowe.

Miesiąc kwiecia i woni, miesiąc uśmiechniętej i ożywionej natury obrano za **„miesiąc Marji“**, a stosowne nabożeństwo zowie się **„nabożeństwem majowem“.**

Pewną jest rzeczą, że nabożeństwo majowe ma swój początek z serca całego chrześcijaństwa, to jest w Rzymie. Zaprowadzenie tego nabożeństwa przypisują **św. Nereuszowi.** W Rzymie za jego czasów istniały, jako pogański zabytek t. zw. igrzyska wiosenne. Były to bale, hulanki, tańce i innego rodzaju zabawy, w których szczególniej młodzież brała udział. Że tam na takich igrzyskach nie odbywało się jak w domu lub kościele, że tam o nabożeństwie mowy nie było, można sobie wystawić. Gorliwy o zbawienie dusz i dobre obyczaje młodzieży odbywał podczas trwania igrzysk nabożeństwo i gromadził koło siebie młodzież, chroniąc ją od zepsucia i zagłady moralnej. Całe to swoje pobożne przedsięwzięcie, oraz wszystkich, którzy w jego nabożeństwie brali udział, oddał pod opiekę Najświętszej Pannie Marji.

Nabożeństwo to przypadło właśnie na czas, kiedy w innych krajach nastąpiło nieszczęsne rozdwojenie religijne, t. zw. reformacja. Wiele dzieci Marji utraciło wiarę, czyż nie trzeba było nowych dzieci do Niej doprowadzać, a dawnych utrzymać i zachować we wierności? Widocznie Panu Bogu i Jego Matce podobało się to nabożeństwo, bo wnet pokazały się błogie jego skutki. Wszystko garnęło się do świątyń, stroiło ołtarze Bogarodzicy, śpiewało nabożne pieśni, zamiast brać udział w szalonych zabawach.

Nie miało atoli to nabożeństwo utonąć tylko w samym Rzymie, owszem rozszerzyło się po wszystkich krańcach ziemi. Mianowicie w końcu XVIII stulecia, kiedy przewrotność filozofów wywołała niewiarę i bezbożność, a za nią w ślady rozruchy w Europie, wtedy **nabożeństwo majowe opanowało wszystkie kościoły, kaplice i pojedyncze figury Najświętszej Panny.** Skutki wnet nastąpiły, bo Europa się uspokoiła, a cześć Marji rosła coraz więcej i do dziś rośnie.

Nabożeństwo majowe nie polega na żadnych pewnych formach nabożeństwa, ani na żadnych stałych obrządkach, tylko **ma się zasadzać na szczególnem uczczeniu Marji w tym miesiącu. Kto może, powinien dziennie odwiedzać kościół i być przytomnym wspólnemu majowemu nabożeństwu, jakie kapłan miejscowy odprawia.** Ale można też i w swej cichej izdebce uczcić szczególnie Marją innemi pobożnemi ćwiczeniami i uczynkami, na jakie czas i możność pozwala. **Nie jest jeszcze pobożnym, jeśli kto porzuca swe obowiązki, spieszy pomiędzy drugich, tam modli się z nieuwagą, a potem wróciwszy do domu, zapomina o wszystkiem. Gdzie braknie prawdziwej szczerości, tam i największe pokłony Bogu i Najświętszej Pannie na nic się nie zdadzą.** Bóg i Panna Marja wymagają serca, prawdziwego serca, chcą być chwalonymi w duchu i prawdzie, a nie usty tylko i zewnętrznie.

Kościół święty od samego początku pochwalił to nabożeństwo i wiernym je zalecił. W roku 1815 Papież VII nadał 300 dni odpustu wszystkim tym, którzy w miesiącu maju szczególnem nabożeństwem Najświętszą Pannę uczczą, i to **za każdy dzień nabożeństwa,** a odpust zupełny raz w maju w tym dniu, kiedy odprawiający swe nabożeństwo przystąpi do Spowiedzi i Komunji świętej. Odpust ten można ofiarować za dusze w czyśćcu cierpiące.

Z powyższego przekonać się można, że nabożeństwo majowe jest Bogu i Najświętszej Pannie Marji miłem, a stąd dla nas wszystkich zbawiennem i skutecznem. Wij wianki, chrześcijańska duszo, i kładź je u stóp Królowej niebios, a wtedy

Ona cię weźmie pod Swoją opiekę,
Choć przeciw Tobie cały świat powstanie,
Otrze z łez gorzkich wilgotną powiekę,
A dusza życia prawdą zmartwychwstanie

Na pobojowisku.

Epizod z wojny teraźniejszej w Chinach.

Sierżant Roc, zbudziwszy się z okropnego snu, otworzył powieki. Palące promienie słońca padały mu wprost na głowę, sprawiając ból nieznośny, podobny do ukłuć tysiącznych os, ból, który przeszywał mu czaszkę i zdawał się topić jego mózg. Z przyzwyczajenia jakieś przekleństwo cisnęło mu się na usta, ale zamiast słów wydarł się z nich tylko świst gardlany, chrapliwy, okropny. Wargi miał suche i spalone, a pomiędzy zębami czuł coś twardego, jakby korek, który zdawał się go dławić. Chciał podnieść do ust rękę, ale dźwignąwszy z trudnością ramię, ujrzał tylko skrwawiony kikut. Ciężył mu ogromnie, taksamo, jak nogi obolałe, jakby zmiażdżone. Sam nie mógł się ruszyć, więc oczy wysyłał na zwiady. Wokół drzewa — a na nich — to nie ptactwo, ale krwawe ciała z wykrzywionemi konwulsyjnie twarzami, okryte strzępami czerwonego i niebieskiego sukna.

Nie był to jakiś sen straszny, gorączkowy, ale niestety, rzeczywistość.

Ranny przypomniał sobie zasadzkę Chińczyków, w którą wpadł wraz ze swymi towarzyszami, przeznaczonymi, podobnie, jak on, do obrony francuskiego konsulatu i nielicznych Europejczyków.

Przypominał sobie, jak wśród ciemnej nocy, nawpół dzicy chunchuzi wymordowali jego kolegów i zaczęli się znęcać nad nim, gdy nagle jakiś alarm zmusił ich do ucieczki, tak, że nie zdołali go dobić.

Z uczuciem pewnego samolubnego zadowolenia spojrzał na suchą gałąź, sterczącą mu nad głową, na której omal że go nie powieszono. Nie o wiele jednak był szczęśliwszy od swych towarzyszy, gdyż Chińczycy najprzód pogruchotali mu nogi, a następnie ucięli ręce i język. Na domiar złego palące słońce Wschodu rzucało mu na twarz deszcz rozżarzonych iskier, a wnętrzności skurczał mu głód i paliło pragnienie.

Miał ochotę krzyknąć: — Do pioruna! — ale z nabrzmiałych jego warg wydobyło się jakieś nawpół zwierzęce charczenie. Na ten słaby odgłos coś poruszyło się w pobliżu: blada, wychudła twarz misjonarza. Sierżant odwrócił wzrok z niechęcią.

— Masz tobie! — pomyślał — jakiś klecha tu leży. Tego tylko brakowało, żeby mię do wściekłości doprowadzić!

Istotnie był to młody misjonarz, schwytany poprzedniego dnia do niewoli i dręczony razem z żołnierzami.

— Do kroćset! — pomyślał znowu sierżant — dużobym dał za to, żeby ta suknia wisiała tam na drzewie, zamiast niebieskiej kurtki któregoś z naszych chłopaków.

Jednakże ta żyjąca istota, leżąca o kilka kroków od niego, zaciekawiła go mimo woli tak, że znowu rzucił okiem w tę stronę.

Księdza już nie było; czołgał się opodal z trudnością i znikł niebawem wśród wysokiej trawy. — O niegodziwiec! Stchórzył zapewne ten brzydki, czarny kruk! — myślał sobie żołnierz, rozglądając się dalej pilnie naokoło siebie.

Wszędzie leżały na ziemi okrwawione szczątki ludzkie, a wśród nich siekiery i noże morderców, porzucone w chwili popłochu, nawpół zwęglone głownie, z których wydzielał się jeszcze gryzący dym, a tuż bliziutko w kałuży krwi — dwie ścięte stopy ludzkie. One to zwłaszcza zwracały na siebie uwagę sierżanta. Do kogo mogły należeć z pomiędzy tych, których ciała kołysały się na drzewach?

Zamknął oczy, aby uniknąć tego przykrego widoku. Żyły tętniły mu w skroniach, wszystkie członki wydawały się ciężkie jak ołów i nie miał nawet tej pociechy, aby móc krzyknąć, aby się poskarżyć. Leżał bezwładny, nieruchomy, tracąc resztę sił w bolesnem tem konaniu.

Nagle uczuł, że coś zimnego i świeżego zwilżyło spieczone jego wargi.

— Woda!...

Tak, była to woda, którą przełykał z rozkoszą i która, choć mętna, boskim wydała mu się napojem.

— Pij, mój bracie — mówił do niego kapłan. — Odgadłem twoje cierpienie i zapragnąłem przynieść ci ulgę, ale nie mogłem tego uczynić tak prędko, jakbym chciał, bo, jak sam widzisz, znajduję się w stanie niewiele lepszym od twego.

Sierżant baczniej mu się przypatrzył. Był to kapłan bardzo jeszcze młody, najwięcej dwudziestopięcioletni, wysłany zapewne niedawno z Seminarjum Misyj Zagranicznych przy ulicy du Bac w Paryżu. Na bladej jego twarzy okropne malowało się cierpienie: zamiast uszu czerniały dwie otwarte rany, gdy zaś mimowolnym ruchem podniósł nieco sutannę, ukazały się z pod niej dwie okrwawione nogi. Nieszczęśliwy stopy miał — ucięte!...

Sierżant uczuł coś wilgotnego pod powieką... Wszak on go w myśli oskarżał właśnie wówczas, gdy biedny kaleka czołgał się z nadludzkiem wysiłkiem, potykając się o ostre głazy, aby przynieść mu trochę wody.

Można być twardym jak kamień, można być niedowiarkiem, nie uznającym ani Boga, ani szatana, a jednak takie rzeczy muszą wstrząsnąć człowiekiem do głębi!

Z tą myślą objął młodego kapłana pełnem tkliwości cierpieniem.

Tymczasem misjonarz lekką i zręczną ręką, która mu przypomniała dłoń matki, opatrzył jego rany, zapominając o własnych, tak że żołnierz uczuł się czemś bardzo nędznem i bardzo lichem wobec bohaterskiego „księżulka".

— Ach, niepoczciwi! jakże się z tobą obeszli, biedny mój przyjacielu! — zawołał kapłan. — Musisz straszliwie cierpieć. Co prawda, to i mnie coś podobnego przypadło w udziale, tak, że dopiero razem wzięci, składamy się na całego człowieka.

— I ten jeszcze żartuje!... Doprawdy, dzielny to chłopak, godzien nosić czerwone spodnie — myślał sobie sierżant.

— Zresztą nie możemy się uskarżać — ciągnął dalej misjonarz — bo ukochany nasz Zbawiciel daleko więcej cierpiał... Jak On, przebaczy naszym katom i dziękujmy Bogu, że nam pozostawił trochę czasu, aby przygotować się na śmierć.

— Naturalnie, zaczyna się kazanie! — pomyślał żołnierz, marszcząc brwi.

Ksiądz zauważył ten grymas i dodał z uśmiechem:

— Bądź spokojny, mój drogi, nie będę korzystał z tego, że nie możesz mi przerwać i nie zacznę cię nawracać wbrew twej woli. Bardziej ufam w potęgę i nieskończone miłosierdzie Boże, niż we własną słabą wymowę. Nie wątpię też, że Pan nasz, Jezus Chrystus, porachuje ci w niebie to, coś wycierpiał na ziemi.

Sierżant potrząsnął głową.

— Ba! chociażbyś był jaknajbardziej zatwardziałym, musisz mieć jednak gdzieś na świecie matkę, która w dzieciństwie uczyła cię pacierza, a teraz modli się za ciebie; jakąś poczciwą starowinę, którą nieraz zasmuciłeś, a która tem więcej cię kocha. Bo miłość matek tak, jak Pana Boga, bywa zwykle największą względem marnotrawnych synów... Ja naprzykład miałem również matkę, która teraz zapewne jest już świętą w niebie. Było nas dwóch u rodziców; ja miałem to szczęście, że nie wycisnąłem jej nigdy ani jednej łzy, ale biedny mój brat Ludwik był dla niej powodem ciągłego zmartwienia. I co powiesz? Oto w ostatnich chwilach swego życia matka z najczulszą miłością mówiła o tym właśnie, który tyle łez ją kosztował...

Żołnierz mimowoli się wzdrygnął, jakby pod wpływem wzruszenia.

— Może cię męczę, lub nudzę, mój kochany?

Przeczące wstrząśnienie głową było wymowną odpowiedzią.

— Jesteśmy sobie obcymi, nigdyśmy się nie widzieli i nie mamy żadnych wspólnych wspomnień z dzieciństwa lub młodości. Mamy jednakże wspólną matkę, naszą Francję i czy z północy, czy z południa jesteśmy rodakami, a więc braćmi.

Ranny potwierdził skinieniem głowy.

— Ja jestem bretończykiem — odezwał się misjonarz, wyczytawszy w oczach żołnierza jakby milczące pytanie.

Biedny kaleka przycisnął skrwawioną rękę do piersi.

— Czy i ty również?

— Tak — zdawało się mówić jego spojrzenie.

— Skąd?

Poczem przypomniawszy sobie coś, dodał:

— Przepraszam cię, mój drogi, zapominam ciągle, iż nie możesz mówić. Ja jestem z Ploec, w parafji Auray... ty także?... A to dopiero spotkanie! — zawołał misjonarz z dziecięcą radością, właściwą tylko czystym duszom. — Możeśmy nawet sąsiadami ze sobą, tylko ja miałem zaledwie lat dwanaście, kiedy mnie ksiądz proboszcz umieścił w małem seminarjum w Vannes, ty zaś musiałeś już wtedy być dorosłym mężczyzną. Z pewnością jednak nazwisko moje musi ci być znane. Nazywam się Józef Marjan Roc; może znałeś mego brata Ludwika?...

Sierżant Roc patrzył nań z oczyma łez pełnemi.

A więc to był młodszy jego brat, którego tak często trzymał na kolanach, lub huśtał w powietrzu, zanim opuścił dom rodzicielski, gdzie mu było tak dobrze, cicho i przytulnie. Wśród licznych szaleństw i błędów młodości, a później w pełnem przygód życiu żołnierskiem, wspomnienie matki w żałobie i jasnowłosego braciszka opromieniało nieraz jego sny i towarzyszyło mu na jawie.

— Co się z nimi stało? Czy żyją? — Zapytywał siebie niemal codziennie. A oto teraz dwaj bracia spotkali się z sobą na pobojowisku, o cztery tysiące mil od rodzinnego zakątka!

Nieszczęśliwy chciał przemówić, ale nie mógł, tylko twarz jego przybrała wyraz głębokiego bólu.

— Czy bardzo cierpisz mój bracie? — zapytał młody kapłan, zaniepokojony gorączkowym jego stanem i coraz większą bladością. — Niestety, manierka pusta; pójdę napełnić ją znowu.

W oczach sierżanta błagalna odbiła się prośba, jak gdyby chciał zawołać!

— Zostań, zostań, nie odchodź!

Biedak czuł, że okropne jego konanie zbliża się już ku końcowi. W tejże samej chwili młody kapłan osunął się na ziemię wyczerpany.

— O, mój Boże, nic mogę!... — jęknął.

Wówczas żołnierz z rozpaczliwym wysiłkiem podniósł się nieco i siwiejącą już głowę oparł na kolanach brata, a biedną, okrutnie okaleczoną swą ręką spróbował nakreślić znak krzyża świętego.

Misjonarz wzniósł wzrok ku niebu z wyrazem niewymownej wdzięczności i przeżegnawszy raz jeszcze umierającego, dał mu pocałunek pokoju...

Tymczasem słońce skryło się w purpurowej łunie i noc zapadła powoli, otulając swym cieniem konającego żołnierza i modlącego się kapłana.

Wschodząca jutrzenka zastała ich obu nieruchomych, stężałych, splecionych w braterskim uścisku i uśpionych na wieki...

Podług źródeł francuskich opowiedziała

Jawnuta.

Znaczenie religji w życiu państwa.

Twórca i obrońca wolności dzisiejszych Stanów Zjednoczonych Jerzy Waszyngton, ustępując z urzędu prezydenta państwa, wydał do obywateli odezwę, w której udzielał im rad i wskazówek. Między innemi mówił on w niej o znaczeniu religji. Czytamy tam słowa:

„Między tem wszystkiem, co wiedzie do pomyślności państw, pierwsze i nieodzowne warunki stanowią religja i moralność. Próżno oświadczałby się ktoś dobrym patrjotą, skoro pracowałby nad podważaniem tych wielkich filarów pomyślności ludzkiej, najsilniejszych podpór ludzkich i obywatelskich obowiązków... Księgi nie starczyłoby, aby przedstawić wszystkie węzły, łączące pomyślność prywatną z pomyślnością publiczną. Wystarczy zadać sobie pytanie, jakby przedstawiało się bezpieczeństwo mienia, czci, a nawet życia, gdyby zbrakło poczucia religijnej więzi przy przysięgach, które dla sądów są decydującym środkiem badawczym. Z całą pewnością uważamy się za upoważnionych do twierdzenia, że moralność bez religji ostaćby się nie mogła. Choćby nawet wiele spodziewano się po wpływach skrupulatnego wychowania... rozsądek i doświadczenie nie pozwala nam oczekiwać, by moralność narodowa mogła roztaczać dobroczynne swe władanie przy wyłączeniu zasad religji...

Względem wszystkich narodów miejcie zaufanie i stosujcie względem nich zasady sprawiedliwości; żyjcie z nimi w pokoju i zgodzie. Religja i moralność wymagają tego, a jakżeż byłoby możliwem, aby podobne ustosunkowanie się nie było również popierane przez politykę? Wolnemu, uświadomionemu narodowi... przystoi dać ludzkości wzniosły i nowy wzór ludu, któryby stale kierował się najpoważniej pojętą sprawiedliwością i poszanowaniem innych."

Episkopat katolicki świata w liczbach.

Niedawno wydany został urzędowy Rocznik Papieski na rok 1933. Jest to wielki tom o 1070 stronach, zawierający dane osobowe o Kurji rzymskiej oraz hierarchji całego świata katolickiego. Według tych danych Kościół posiada w tej chwili 207 metropolitów, 37 arcybiskupów bez godności metropolity, 900 biskupów-ordynarjuszów, 665 biskupów tytularnych, 45 bezpośrednio Rzymowi podlegających prałatur i opactw, 253 wikarjaty apostolskie, 105 prefektur apostolskich i 3 misje, ukonstytuowane jako osoby kościelno-prawne. Same tylko Włochy oprócz siedmiu tak zwanych biskupstw podmiejskich liczą 30 arcybiskupów i 235 biskupów. W dodatku do „Rocznika" znajduje się wykaz papieskich orderów rycerskich. Wśród osób, odznaczonych orderem Chrystusa, po raz pierwszy umieszczeni zostali król włoski i następca tronu Italji a wśród posiadaczy orderu Złotej Ostrogi również po raz pierwszy figuruje prezes rady ministrów Mussolini.

Prezydent Roosevelt dziękuje duchowieństwu katolickiemu.

Jak wiadomo biskupi Stanów Zjednoczonych wyrazili prez. Rooseveltowi podziękę za słowa uznania dla duchowieństwa katolickiego, wypowiedziane w jego pierwszem przemówieniu po wyborach. Odpowiedź biskupów katolickich została doręczona w Białym Domu przez p. Ready, sekretarza narodowych katolickich towarzystw dobroczynnych w Stanach Zjednoczonych. Obecnie prezydent Roosevelt wystosował do prezesa powyższych organizacyj pismo, w którem w bardzo serdecznej formie dziękuje duchowieństwu katolickiemu i wszystkim katolikom za ich dobre chęci i życzenia.